„Zemsta" Fredry z „Ateneum" w Teatrze POSK-u

Tamara Karren

Wszyscy wiemy, przyznajemy, uczyliśmy się tego w szkołach, czytaliśmy w dziełach historyków literatury, że „Zemsta" Fredry, to jedno z największych dzieł naszego piśmiennictwa, ba, nie tylko polskiego, ale światowego, że gdyby Fredro pisał po francusku, albo po rosyjsku... że Molière, że lepszy... itp. itp. A jednak wbrew tym wszystkim entuzjazmom, wbrew dopominaniu się miłośników tego arcykomediopisarza — publiczność przedwojenna (trzydzieste lata) była wobec Fredry „oporna". Dyrektorzy teatrów, bojąc się o kasę stosunkowo rzadko wystawiali „Zemstę". Ta oporna publiczność przedwojenna — to dzisiaj starsze pokolenie. Zapomniało już jak zabijała twórczość Fredry szkoła — zmuszając do analizowania i rozszczepiania na czworo każdej linijki wiersza Fredry, zabijała to, co jest w nim najbardziej porywające — jego poezję, rozlewność, nurt niosący słowa do słońca. Do nie rozumienia wspaniałej, radosnej i ciepłej komedii Fredry przyczyniły się wieloletnie spory najwybitniejszych historyków literatury co do sposobu traktowania twórczości Fredry.

Spojrzeń na „Zemstę" było chyba tyle, ile prac literackich na jej temat i ile jej interpretacji reżyserskich. Byli tacy, którzy widzieli w niej krwawą rozprawę z szlachetczyzną, gorzką satyrę na błędy narodowe. Inni jak np. historycy tej miary co Tarnowski czy Chrzanowski widzieli w „Zemście" jedyną komedię Fredry, która „kończy się Bogiem" i odzwierciedla „obyczaj staropolski, duszę staropolską, uczciwy obyczaj", a nawet dostrzegli w niej „królewskie blaski przeszłości". Odbrązawia to na szczęście wielki entuzjasta i znawca Fredry Boy-Żeleński. „Sztuka kończy się Bogiem?" pyta. „Gdyby nie dwa posagi Klary, sztuka nie kończyłaby się Bogiem, a nowym procesem wytoczonym przez Rejenta. Uczciwy obyczaj? — A te pieniactwa, gwałty, fałszywe świadectwa, bałwochwalczy kult pieniądza — obraz cnoty domowej? A te szacherki z Podstoliną, która wędruje niemal z rąk do rąk i w którą ojciec przez zemstę, chciwość i pychę chce ubrać własnego syna". Królewskie blaski przeszłości? „Królewska jest tylko poezja Fredry, reszta, to małe świństwa małych ludzi".

Przedstawienie „Zemsty" które ostatnio pokazał nam Teatr Ateneum z Warszawy oczekiwane było z ciekawością i zainteresowaniem, co zaowocowało pełną salą w teatrze POSK-u — zarówno na premierze jak na późniejszych przedstawieniach. Gustaw Holoubek, reżyser tego opracowania „Zemsty" dał nam przedstawienie wesołe i żywe i wszystko można o nim powiedzieć tylko nie to, że było nudne. Uchronił nas przy tym od różnych „przybudówek", których nie szczędzili różni reżyserzy tej komedii jak np. wprowadzenie sceny z księdzem wracającym z kaplicy zamkowej w otoczeniu całego dworu Cześnika — czy zastawianie sceny różnymi kurantami, organami itd. Zazdrościłam widzom, którzy przyszli na to przedstawienie „niewinni jako zwierzę w raju" — nie obarczeni żadną wiedzą o losach tej rozkosznej sztuki i nie widzieli słynnych wykonawców. Gdy się pomyśli, że Jerzy Leszczyński grał i Wacława i Cześnika i Papkina, że Jaracz grał Rejenta, a Papkina — najlepszy podobno Solski, to można się dziwić, że ich następcy nie boją się wchodzić w te role. Na szczęście aktorzy to odważny ludek i nie boi się porównań — i słusznie. Każdy wnosi coś nowego (albo choć się stara) i tylko wzbogaca nasze doświadczenia teatralne. Aktorzy którzy przyjechali z omawianym przedstawieniem ani przez chwilę nie rozczarowali najbardziej nawet wymagających „Fredro-entuzjastów". Marian Kociniak jako Cześnik był prawdziwym Raptusiewiczem — cały aż czerwieniał w gniewie. Był krwisty iście karmazynowy, choć coś w nim subtelnie sugerowało, że naprawdę żadnym karmazynem nie był, a ot, tylko skromnym sobie cześnikiem powiatowym.

Rejent — Mariusz Dmochowski — to oślizgły, obłudny rejent — tartufowski intelekt, z nieustannym imieniem Boga na ustach — budził śmiech pomieszany z grozą. Dowcipną i pełną uroku, wartą jeszcze grzechu, nawet bez owych dwóch hipotek, była Anna Seniuk. Pięknie mówiła wiersz, a raczej wiersz niósł ją polonezowym rytmem. Niestety nie można tego powiedzieć o całym zespole który zapomniał, że bodźcem wszystkich fredrowskich uroków jest wiersz, któremu trzeba dać się porwać a wtedy porywa on publiczność. Druga kobieca rola — Klara — to młode i ładne stworzenie — nie zdążyliśmy poznać jej indywidualności — zresztą w tej dość szablonowej roli — mało komu udawało się pokazać coś interesującego.

Lepszą rolę miał „amant" sztuki Wacław (Jacek Borkowski) — kilka dowcipnych sytuacji i ładnie grał zakochanego młodzieńca, omal nie ginącego w krętactwach i intrygach obu domostw, taty Rejenta i wroga ojca Cześnika. Bardzo przekonywającym i b. miłym safandułą był Marian Opania (świetny skądinąd aktor). Widocznie za dobrze pamiętam Dyndalskiego — Romana Ratschkę, z „Zemsty" wystawianej przez emigracyjny teatr w r. 1970 w reżyserii Leopolda Kielanowskiego. A było to przedstawienie, niezależnie od ówczesnych warunków w teatrze — które naprawdę warto pamiętać. Jedna z najlepszych i najweselszych scen w „Zemście" — to słynna scena pisania listu przez Dyndalskiego, dyktowanego przez Cześnika. W obecnym przedstawieniu nie była tak świetna jak powinna była być. Wydaje mi się błędem reżyserskim, że odbywała się ona jednocześnie ze wspaniałą, porywającą oczy i serce sceną pisania testamentu przez Papkina. Papkin. Jedna z najtrudniejszych ról. Podobno nie było jeszcze aktora który by jako Papkin zadowolił wszystkich — może Leszczyński. Wiktor Zborowski z Teatru Ateneum porwał publiczność Poskową. Ekstrawagancko zabawny, wbrew pozorom jest bodaj najważniejszą postacią sztuki — marionetka, która wszystkich ciągnie na sznurku. Zborowski śmieszył i wzruszał. Pozostanie w pamięci. Czego nie mogę powiedzieć o scenografii Marcina Stajewskiego. Żadnego stylu nie miały ani szmaty które miały udawać atłasowe obrusy na równie niestylowych stołach i kanapach, natomiast, również szmaty, w formie rolet spuszczanych i podnoszonych w zależności w której z „komnat" odbywa się akcja — były wręcz nieporozumieniem i przy ślicznie podanym przedstawieniu trąciły amatorską zabawą w teatr na głuchej prowincji.

Nie sposób nie wspomnieć co zrobił z małej scenki w „Ognisku" scenograf z Bożej łaski — Tadeusz Orłowicz — w dawnym spektaklu „Zemsty" w r. 1970.

W sumie było to urocze przedstawienie, które zobaczyliśmy dzięki Urszuli Święcickiej, wytrwale zapraszającej do teatru w POSK-u, co lepsze spektakle z Polski.

****